



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Maria Kapuścińska

Warszawianka

W dniu 1 września 1939 roku miałam ponad osiem lat. Przebywałam wówczas z mamą na lotnisku w Józefowie pod Warszawą. Zaraz pierwszego dnia bomby spadły gdzieś niedaleko. Zostałyśmy same, zdezorientowane i przerażone. Nie wiedziałyśmy co robić – wracać do Warszawy czy czekać.

Po kilku dniach zjawił się ojciec. Zgodnie z rozkazem Umiastowskiego udawał się na wędrowną „gdzieś na wschód”. Rozkaz ten wydał się absurdalny, gdyż jednocześnie zapadła decyzja obrony Stolicy. Sytuacja stawała się dramatyczna, gdyż Niemcy posuwali się błyskawicznie, a zachodni sojusznicy „nie chcieli umierać za Gdańsk”. Ojciec – zgodnie z rozkazem – udał się na „wędrowną”, a my zostałyśmy na miejscu. Zaczęło brakować żywności, a mamie bardzo dokuczał brak papierosów.

Pamiętam z tych pierwszych dni wojennych komunikaty nadawane przez radio: „Uwaga, uwaga nadchodzi” i zaraz potem jakiś kod liczbowy. Czytane wyraźnie, bardzo uroczystym głosem (bodaj przez Bocheńskiego), wywoływały dreszcz grozy – były to bowiem zapowiedzi nadlatujących bombowców niemieckich. Z ulgą przyjmowaliśmy słowa: „Uwaga, uwaga, przeszedł”. W radiu słychać też było charakterystyczny, jakby ochrypły głos Stefana Starzyńskiego w przemówieniach kierowanych do obrońców Warszawy.

Niemcy zjawili się w Józefowie i okolicach dość wcześnie. Daty nie pamiętam. Zaczęło się oblężenie Warszawy, a więc już nie można było wracać. Pamiętam dramatyczne wydarzenie: jakiś patrol niemiecki zatrzymał kilku mężczyzn z sąsiedztwa. Nikt z naszych sąsiadów nie mówił po niemiecku. Zwrócili się do mamy – znającej trochę ten język – aby podjęła się mediacji. Tak się też stało. Nie wiem co i jak im powiedziała, ale ludzi wtedy wypuścili. Stała się bohaterką dnia.

Z daleka obserwowaliśmy dymy nad Warszawą. Ciągłe bombardowana stolica paliła się. Niebo w te dni było błękitne i bezchmurne, co ułatwiało naloty.

Jednego razu oglądaliśmy zwycięską potyczkę powietrzną dwóch naszych myśliwców z samolotem niemieckim. Widok był niezwykły: jak dwa zajadłe psy dopadają dziką, tak nasze lekkie myśliwce podlatywały do ciężkiego bombowca to od ogona, to od „brzucha”, to z góry. Wreszcie zapalił się i ciągnąc za sobą smugę dymu spadł gdzieś za rzeką. Lotnicy niemieccy zginęli. Ludzie chodzili oglądać szczątki samolotu, a nawet brali jakieś drobne ułamki na pamiątkę.

„Czasami lotnicy niemieccy z małej wysokości ostrzeliwali ludzi z karabinów maszynowych – nawet kobiety z dziećmi. Sama to przeżyłam. Tworzyły się wtedy małe fontanny piasku w miejscach uderzenia kul, które później zbieraliśmy.

Zdarzało się, że nasi żołnierze, już w rozsypce, przychodzili po jakąś pomoc w wyżywieniu, gdy jednocześnie krążyły patrole niemieckie. W lesie pełno było porzuconego sprzętu: puste skórzane

ładownice, polowe kuchnie wojskowe itp. My, dzieciaki, starannie zacieraliśmy ślady butów naszych żołnierzy (charakterystyczny układ gwoździ), aby ich Niemcy nie wypatrzyli. Nasze wojsko było bardzo rozgoryczone. Nieraz słyszeliśmy skargi: „Dali nam, proszę pani, po dwa naboje i to wszystko. Zostawili własnemu losowi”. Ten nastrój rozgoryczenia pogłębił się wraz z wiadomością, że naczelny wódz Rydz-Śmigły opuścił walczących i uciekł z rządem za granicę, do Rumunii. To był „początek końca”.

Moja mama, zawsze energiczna i nie poddająca się trudnej sytuacji, zorganizowała wkrótce kopanie rowów – schronów, gdyż nieraz spadały bomby. Dostyc marnie się to udawało, bo suchy piasek osypywał się, ale przynajmniej nie siedzieliśmy beczynnie i działaliśmy we własnej obronie. Miało to wielkie znaczenie psychologiczne. A pogoda była niezmiennie słoneczna i niebo bezchmurne.

Ojciec wrócił z wędrówki chyba już po kapitulacji Warszawy. Zaraz postanowiliśmy wracać. Udało się zorganizować jakąś furę. Nie wiedzieliśmy, co stało się z naszym domem. Później okazało się, że ocalał, choć bez szyb. Naszym mieszkaniem opiekowała się Babcia.

W tych tragicznych czasach zdarzały się przypadki humorystyczne. Mama, która dużo podróżowała przed małżeństwem z ojcem, przywiozła kiedyś z Hiszpanii, czy też z północnej Afryki mosiężną maszynkę do kawy o charakterystycznym wyglądzie. Miała kształt dość długiego walca zakończonego zwężającym się stożkiem. Babcia, czuwająca nad naszym dobytkiem, uznała, że jest to jakiś pocisk i po prostu wyrzuciła tę cenną pamiątkę. W tych okolicznościach wywołało to jedynie wesołość.

Nieraz pamięta się jakieś szczegóły, wcale nie tak ważne. Jeszcze dziś widzę rozkładającego się trupa końskiego, koloru szarego i czuję okropny, wstrętny odór.

Tak właśnie skończyło się moje szczęśliwe dzieciństwo i zaczęła okupacja. Był to już zupełnie inny świat, nieznanym jeszcze, lecz od razu przerażający. Trzeba było jednak w nim bytować i walczyć o przeżycie.

Okupacja

Niemcy zamknęli Uniwersytet, ojciec stracił pracę i środki do życia. Zalegaliśmy z komornym, gospodarz groził eksmisją, brakowało pieniędzy na żywność i opał. W tej sytuacji mama domowym sposobem – jak zawsze dzielna i energiczna – zaczęła wyrabiać krówki z mleka i cukru (zdobywanego po znajomości) oraz tzw. cegiełki, też krówkowe, formatu pudełka od zapalek. Później wysyłano je krewnym w oflagach i stalagach, jako pożywny, pełnowartościowy produkt z mleka i cukru. Najpierw swoje krówki mama rozprowadzała wśród znajomych, potem nawet dawała w komis do sklepów spożywczych. Wyrabiała też karmelki z topionego cukru. Przynosiło to niewielki, lecz względnie stały dochód.

Oczywiście wszystkie prace domowe, które dotychczas wykonywała służąca, „spadły” na mamę no i... Babcie. Moja pomoc była raczej symboliczna z wyjątkiem pracy przy krówkach. Do tej dość ciężkiej sytuacji domowej dołączyły się później kłopoty zdrowotne: ojciec zachorował na zapalenie płuc (podejrzewano nawet gruźlicę, na szczęście nietrafnie), a Dziadek dostał wrzodu żołądka (leżał nawet w szpitalu).

Z czasem z pomocą prof. Pieńkowskiego ojciec uzyskał posadę kontrolera zużycia gazu. Była ona niezwykle cenna nie tylko ze względu na zarobek, lecz i na otrzymanie oficjalnego zaświadczenia o zatrudnieniu, czyli tzw. Auswiessu. Okupanci wprowadzili też nowe dowody tożsamości tzw. Kennkarty. Oprócz podstawowych danych osobowych i zdjęcia, zawierały odciski palców – jakby jakichś przestępców.

Wkrótce po zakończeniu działań wojennych, na początku okupacji, zaczęto organizować tajne nauczanie uniwersyteckie, na kompletach, na których uczył ojciec i inni pracownicy naukowcy Uniwersytetu. Fundusze na wynagrodzenie wykładowców pozyskiwane były przez prof. Pieńkowskiego z zagranicy – zupełnie nie wiem w jaki sposób.

Wielką tragedią dla prof. Pieńkowskiego, ojca i innych pracowników naukowych związanych z Zakładem Fizyki było wywiezienie przez Niemców wszystkich najcenniejszych przyrządów z pracowni. Kierował tym rabunkiem jakiś niemiecki naukowiec, który znał Zakład Fizyki sprzed wojny, gdy był tu jako gość i dlatego dobrze orientował się w aparaturze i miejscu jej zainstalowania. Kilka drobniejszych, cennych przedmiotów udało się ukryć, m.in. unikalną siatkę dyfrakcyjną. Pamiętam, że ojciec bardzo się z tego cieszył. Następnie cały gmach przy ul. Hożej 69 zarekwirowano na jakieś urzędy niemieckie, przebudowując wewnątrz na małe pomieszczenia, które po wojnie trzeba było wyburzyć. Na szczęście sam gmach ocalał – nie zdążyli go spalić. Zaraz na początku 1945 roku profesor Pieńkowski przystąpił – z właściwą mu energią – do odtworzenia tej zasłużonej dla nauki polskiej placówki.

Najbardziej widoczne zmiany w życiu codziennym to: wprowadzenie godziny policyjnej (bodaj od 20 do 8 rano), obowiązek zaciemniania okien, niemieckie patrole na ulicach. Obce mundury Wehrmachtu „feldgrau”, jak na ironię z napisem „Gott mit uns” na klamrach pasów i czarne, szczególnie zniechęcające – SS. Na ulicach zainstalowano głośniki, tzw. „szczekaczki” nadające materiały

propagandowe o zwycięstwach hitlerowców na wszystkich frontach oraz rozporządzenia dla ludności. Odbiorniki radiowe zostały Polakom odebrane – za ich posiadanie groziły kary np. obóz lub więzienie. Wydawano wtedy tzw. „gadzinówkę” pt. „Nowy Kurier Warszawski”, gazetę codzienną kontrolowaną całkowicie przez okupanta. Po Warszawie krążyły też tzw. „gazetki” organizacji podziemnych: cienkie kartki odbijane na powielaczu. Za ich posiadanie groziły oczywiście najsurowsze kary.

Na domach pojawiły się niemieckie nazwy ulic, sklepów a nieco później obwieszczenia czyli Bekanntmachung. Najczęściej dotyczyły one nowych zarządzeń okupanta lub zawierały listy osób rozstrzelanych w ulicznych egzekucjach. Miejsca te upamiętniają tablice na murach Warszawy.

Wkrótce na ulicach pojawili się ludzie z białymi opaskami i niebieskimi sześcioramiennymi gwiazdami, które musieli nosić Żydzi. Minęło niewiele czasu i wysiedlono ich z całej Warszawy do Getta na Woli, wywożąc stąd następnie do obozów zagłady, o czym na razie nie wiedzieliśmy, bo Getto było odizolowane od tzw. „dzielnicy aryjskiej”, otoczone murem z kawałkami szkła na szczycie i pilnie strzeżone. Wiadomości o tym, co się tam dzieje z trudem przenikały na zewnątrz, a w okropności po prostu nie chciało się wierzyć. Właściwie całą tragiczną sytuację można było w pełni ogarnąć dopiero po wojnie, podczas odkrywania zbrodni hitlerowców. Prawdziwym bohaterem stał się Janusz Korczak – „Stary Doktor”, który wraz ze swymi podopiecznymi dziećmi poszedł dobrowolnie na śmierć do Trebinki. Ale o tym dowiedzieliśmy się później. Ten koszmar zakończyło tragiczne i beznadziejne powstanie w Getcie w 1943 roku, szybko zdławione przez Niemców. Cały ten teren następnie zrównano z ziemią.

Oprócz „dzielnicy aryjskiej” i Getta powstała też tzw. „dzielnica niemiecka”. Z domów leżących na jej terenie wysiedlono wszystkich mieszkańców (Polaków) i zasiedlono wyłącznie Niemcami. Nasz dom znalazł się na jej granicy – o skutkach tego dla nas opowiem później.

W wagonach tramwajowych specjalne barierki z przodu wagonu odgradzały miejsca „Nür für Deutsche”, powstały też sklepy tylko dla Niemców tak zwane sklepy Meinla. Łazienki też zostały zamknięte dla Polaków, a pomnik Chopina – zniszczony i pocięty na złom. Zakazano również wykonywania muzyki tego kompozytora!

W tych warunkach my – dzieci – rozpoczęliśmy „działalność patriotyczną”. Zrzucaliśmy z balkonu kartki z rysunkami maszkar: odrażających, zezowatych twarzy z brodawkami w kształcie swastyk i stosownymi podpisami – Hytler i żona Hytlera. Zupełnie nie wiem skąd przyszła nam do głowy ta „żona Hytlera”. Szczęście, że mama odkryła tę naszą „patriotyczną” działalność i kategorycznie jej zakazała. Przez nią mogło stać się prawdziwe nieszczęście – łatwo byłoby ustalić źródło ulotek.

Muszę wspomnieć o jeszcze jednej bolesnej sprawie – Folksdojcach. Byli to Polacy (czy na pewno Polacy?), którzy przyznawali się do jakoby niemieckiego pochodzenia, podpisali listę lojalności i kolaborowali z okupantem. Uważani byli za zdrajców i otoczeni pogardą. Na szczęście nikt z naszego środowiska tym się nie zhańbił. Podczas okupacji istniała też „Granatowa Policja” wywodząca się z policji przedwojennej, która – niestety – współdziałała z Niemcami, znienawidzona przez mieszkańców Warszawy.

Z czasem organizował się podziemny ruch oporu Armii Krajowej i Armii Ludowej. Zajmowali się oni małym sabotażem, rozprowadzaniem gazetek, nasłuchem radiowym itp. Organizowano też większe akcje. Pamiętam zamach na Kutscherę, oprawcę z SS, przeprowadzony na jakieś pół roku przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Wcześniej głośny był zamach na „Cafe Club” – kawiarnię „Nur für Deutsche” na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, dokonany przez AL. Miejsce to, obok obecnego MPiK-u, upamiętnia mozaika.

Na murach pojawiły się napisy: „Tylko świnie siedzą w kinie”, „Pawiak pomścimy!”, symbole kotwicy w połączeniu z literą P. Mówiły nam one, że w tych ciężkich czasach toczy się walka podziemna. Wszystkim nam świadomość ta była potrzebna.

Niestety za akcje podziemia trzeba było płacić wysoką cenę. Rozstrzeliwano pod murami domów przypadkowych, zwykłych ludzi złapanych na ulicach. Plagą okupacji stały się łapanki: patrol niemiecki otaczał grupę ludzi i prowadził ich jako aresztantów, często wpędzał do ciężarówek pod brezentową budę. Stąd powstała nazwa: „Buda”. Gdy ktoś krzyknął: „Patrzcie, buda jedzie!” – ludzie uciekali, kryli się po bramach. Często w ten sposób zagarniętych przechodniów osadzano w więzieniu np. Pawiaku, wywożono do obozów lub na roboty, a nawet rozstrzeliwano w ulicznych egzekucjach jako zakładników. Niekiedy, rzadziej, puszczano. Takie szczęście miała moja mama – o czym jeszcze opowiem.

Na początku okupacji nasza szkoła im. Platerówny przy ul. Pięknej 24 była jeszcze czynna. Sam gmach zachował się do dziś. Obok stoi kamienica z bramą. W tej właśnie bramie czekałam kiedyś na mamę, która miała po mnie przyjść. Nie przychodziła. Płakałam. Nie wiedziałam co robić – wracać samej do domu? A jak mnie mama tu nie zastanie? Ktoś mnie pocieszał, a ja płakałam i czekałam długo, wieki całe. Wreszcie przyszła mama bardzo zdenerwowana. Okazało się, że po drodze była łapanka i ją też zagarnęli. Jakimś cudem część ludzi puścili, a wśród nich i mamę. Tak wtedy było. Mamy już nie ma – a brama jest, no i to wspomnienie pozostało na zawsze.

Bodaj w roku 1940, a może 1941 (daty już nie pamiętam) szkołę wyeksmitowano z gmachu przy Piękiej – widocznie potrzebny był na coś Niemcom. Początkowo lekcje odbywały się w kilku pokojach przy ul. Mokotowskiej w pobliżu placu Zbawiciela. Później szkołę całkowicie zlikwidowano. Wtedy rozpoczęły się tajne „komplety”, czyli nauka w poszczególnych mieszkaniach, w małych grupkach, do których przychodziły nauczycielki. Dla bezpieczeństwa działające jeszcze szkoły powszechne wszystkim nam wydawały „lipne” legitymacje. Stanowiły wtedy jedyny dokument.

Na kompletach zbierało się zazwyczaj kilku uczniów i nauczycielka. Miało to pozór spotkania towarzyskiego – zawsze była w pogotowiu jakaś herbata. Raczej nie nosiliśmy zeszytów, lecz małe karteczki zapisane maczkiem w... palcach od rękawiczek. Dlaczego akurat tam – nie wiem, lecz sądzę, że ze względów konspiracyjnych. Nie muszę dodawać, iż nigdy chyba nie uczyliśmy się z takim zapałem jak właśnie wtedy.

Jednym z koszmarów okupacji, zwłaszcza gdzieś po 1942 roku były nocne naloty, a właściwie alarmy lotnicze. Przerażliwe, falujące wycie syren wrywało ze snu nieraz po kilka razy w ciągu jednej nocy. Ludzie mieszkający na granicy dzielnicy niemieckiej – jak my – obowiązani byli schodzić za każdym razem do piwnicy, gdyż Niemcy obawiali się, że możemy dawać jakieś znaki aliantom. Czasem spadały bomby: najpierw słychać było narastający gwizd i potem głuchy odgłos wybuchu. Pamiętam, że wrywana wielokrotnie ze snu dostawałam jakichś dziwnych dreszczy. To nawet nie był strach, tylko jakiś wstrząs, który niepokoił mamę. Nie chciałam schodzić do piwnicy, bojąc się zasypania żywcem, ale musiałam. Obowiązkowo z naszą jamniczką Żabą, którą starałam się uspokoić. Odwołanie alarmu sygnalizowało ciągle wycie syreny, nikt jednak nie wiedział czy za chwilę nie ogłoszą nowego.

Wspominałam już, że bodaj w roku 1941 utworzono tzw. „dzielnice niemiecką”. Ponieważ mogli tam mieszkać tylko Niemcy, mieszkańców wysiedlono, w tym rodzinę mojej przyjaciółki Rysi z ul. Litewskiej. Nasz dom znalazł się na granicy. Jego wejście znajdowało się od ulicy Marszałkowskiej. Podwórce rozdzielono murem, ale nasz dom ominęło wysiedlenie. Wylot Litewskiej, tuż przy Marszałkowskiej, zagrodzono i postawiono wartownika.

Gdzieś w połowie Litewskiej, powstało wtedy więzienie czy też areszt, w którym przetrzymywano Polaków. Zdaje się, choć nie jestem pewna, że właśnie z tego aresztu dowożono ich na „badania” do Gestapo w Al. Szucha, które polegały na wymuszonych torturach w celu wymuszenia zeznań. Więźniowie ci śpiewali rano i wieczorem – ich głosy docierały do nas – „Kiedy ranne wstają zorze” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Słowa owych pieśni w zderzeniu z sytuacją tych ludzi brzmiały szczególnie wstrząsająco, lecz widać były im potrzebne. Wspominam o tym, aby utrwalić ten epizod nie tylko w mojej pamięci i ocalić od zapomnienia.

Chociaż nie wyrzucono nas z mieszkania, kłopoty dopiero się zaczynały. W każdym lokalu naszego pogranicznego domu, po jednym pokoju rekwirowano dla potrzeb niemieckich. U nas zajęto najładniejszy, duży pokój. Czekaliśmy z trwogą co będzie. Mama specjalnie nie porządkowała go, aby odstraszał ewentualnych kandydatów. Przez długi czas sposób ten przynosił pożądane rezultaty, ale nie mógł zapobiec na stałe. Pewnego dnia zgłosiła się jakaś Niemka, której mimo wszystko pokój się spodobał. Miała zamieszkać z mężem i małą córeczką, z prawem korzystania z kuchni. To, że miała zamieszkać cywilna rodzina z dzieckiem stanowiło „mniejsze zło”. Zresztą Frau Riche ciągle podkreślała, że jej mąż jest cywilnym urzędnikiem, nie mającym nic wspólnego z wojskiem czy SS. I była to chyba prawda. Pamiętam, że kiedyś przyszedł jakiś Niemiec wypytywać się o nich i polecił powiadomić o swej wizycie Richów. Gdy Frau Riche się o tym dowiedziała, wpadła w popłoch i ciągle dopytywała się, czy nie był w mundurze SS – była autentycznie przerażona.

W tym czasie odbywały się u nas komplety. Mama powiedziała kiedyś w kuchni Frau Riche, że ponieważ czasy są niespokojne, boi się posyłać mnie do szkoły i że zorganizowała kilka matek (aby było taniej) i nauczycielkę, aby czasem przychodziła na korepetycje. Nie wiem czy Frau Riche czegoś się domyślała, ale przyjęła wypowiedź mamy za dobrą monetę i wcale się tą sprawą nie interesowała. W ten sposób komplety były niejako chronione obecnością rodziny Riche, co stanowiło niewątpliwą korzyść. Często też nastawiali dość głośno radio, tak, że mogliśmy usłyszeć wiadomości z frontów.

Problem stanowiła ich mała córeczka Ellen (5 lat). Było to przemile dziecko, mała blondyneczka, która nastawiona życzliwie i ciekawie do świata nie rozumiała przeszkód w kontaktach z nami. Staramy się być chłodni, lecz trudno było mojej mamie odepchnąć dziecko, które biegło za nią wołając: „Tante, Tante” i coś szczebiocząc. Przyznam się, że i ja polubiłam Ellen, choć wcale nie chciałam jej polubić!

Pamiętam, że kiedyś Puchów miało nie być cały dzień, a Ellen leżała chora. Frau Riche poprosiła, żeby mama do małej zajrzała. I mama nie odmówiła... Jednak mimo wszystko nie odmówiła. Takie skomplikowane sytuacje powstawały w tym naszym nienormalnym życiu. Przecież ta Ellen to jednak była N i e m k a, a Niemców trzeba było nienawidzić!

Po jakimś czasie Richowie wyprowadzili się. I znów niepewność, oczekiwanie. Pewnego dnia przyszła dość młoda kobieta, jakaś wystraszona i mówiąca po polsku. Nic gorszego nie mogło się stać – jakaś Folksdojczka, czy coś w tym sensie. Bardzo nerwowo powiedziała: „przyjechałam ze wschodu

(Niemcy już się wtedy cofali), nie ma pani pojęcia co się tam dzieje. Piekło! Na razie będę mieszkać sama, ale gdy mój narzeczony przyjedzie z frontu, zamieszka ze mną”. To było wszystko. Całymi dniami nie było jej w domu, panował spokój, komplety odbywały się nadal.

No i przyjechał ten jej narzeczony z frontu wschodniego – żołnierz Wehrmachtu. I tu się zaczęło. Koniecznie chciał złożyć uszanowanie gospodarzom. Robiliśmy różne uniki, jednak pewnego razu zapukał i wszedł. Staliśmy sztywno. On podawał mi jakąś czekoladę – nie chciałam wziąć, sytuacja stawała się trudna do zniesienia. Wreszcie mama powiedziała głośno: „Weź i połóż na kredensie, od-damy na Organizację”. On zaczął mówić po niemiecku, że jest żołnierzem frontowym. Jego ojciec miał fabrykę fortepianów w Lipsku, a on sam jest z zawodu stroicielem tych instrumentów. W wojsku znalazł się wskutek rozkazu mobilizacyjnego. Zapytał czy nasze pianino jest dobrze nastrojone. Odpowiedzieliśmy, że tak i że teraz nie jest czas, aby zajmować się takimi drobiazgami. Na jednak spróbował kilku akordów i powiedział, że jednak nasze pianino nastroi. Ciągłe staliśmy sztywni i bezradni, twierdząc, że nie trzeba. A on mówił i mówił o przeżyciach frontowych – zadziwiająco szczerze jak na Niemca zwracającego się do Polaków. Wreszcie zapytał, czy może coś zagrać i usiadł przed otwartym pianinem. Zagrał... Chopina. A przecież było to surowo zabronione! Przecież jego rodacy zniszczyli pomnik Chopina w Łazienkach!

Po raz pierwszy w życiu słyszałam Chopina „na żywo” i to na naszym pianinie w wykonaniu... niemieckiego żołnierza!. Co za paradoksy! Grał dość długo i chyba nieźle, jak to teraz oceniam. Była to demonstracja jego stosunku do nas, do Polaków i do naszego genialnego Kompozytora. Chciał w ten sposób przekonać nas, że jest i n n y, że nie identyfikuje się z hitleryzmem. I przekonał. Przez muzykę Chopina.

Chyba raz jeszcze zagrał przed swym wyjazdem, tłumacząc się, że palce, które trzymały karabin, nie są tak posłuszne, jak być powinny. Mimo naszych protestów nastroił pianino, które jego rodacy wkrótce obrócili w popiół.

Podczas okupacji popularny był święty obrazek, który wtedy wszyscy nosili przy sobie, przedstawiający stojącą postać Chrystusa, z którego rąk emanowały dwie świetliste smugi: biała i czerwona. Właśnie taki obrazek z naszymi barwami narodowymi podarowałam stroicielowi, gdy przyszedł się pożegnać przed wyjazdem na front. Nie wiemy czy przeżył, czy zginął. To był naprawdę porządny Niemiec wplątany – wbrew swej woli – w wojenną machinę.

Mama potem twierdziła, że wyrządził nam krzywdę, gdyż zasiał ziarno wątpliwości: „Gdy patrzę na żołnierzy Wehrmachtu – mówiła – czasem przychodzi mi myśl – może wśród nich jest taki jak on? Przecież oni wszyscy to wrogowie. A może jednak nie wszyscy?” Tyle lat minęło, a ja wciąż pamiętam tego Niemca, który grał Chopina w okupowanej przez jego rodaków Warszawie.

W tym czasie front wschodni zbliżał się do Polski. Wkrótce – ku naszej uldze – wyprowadziła się ta narzeczona, której zupełnie nie pamiętam. Czasem zastanawialiśmy się kim właściwie była, lecz nie doszliśmy do żadnych wniosków – jakiś tajemniczy typ.

Pokój znów opustoszał. Jednak zaobserwowaliśmy, że w miarę zbliżania się frontu do Warszawy, dużo Niemców opuszczało zajmowane dotychczas mieszkania. Toteż mieliśmy nadzieję, że już nikt się nie wprowadzi. I tak się stało.

W czasie okupacji nigdzie nie wyjeżdżaliśmy. Mama panicznie bała się opuszczać Warszawę. I miała rację. Matka mego kolegi proponowała jej spędzenie razem lata w Worochcie. Gdybyśmy wtedy pojechali, nie byłoby komu snuć tych wspomnień – wszyscy w bestialski sposób zostali wymordowani.

Jednak miałyśmy latem mały oddech. Nie wiem na jakiej zasadzie ludzie zaczęli uprawiać na Polu Mokotowskim małe splechietki ziemi. I my mieliśmy tam małą działeczkę, coś około 50 m². Niemcom widocznie to nie przeszkadzało, bo nie wtrącali się. Dla nas, dla mamy, mnie i Żaby była ta działeczka prawdziwym dobrodziejstwem. Ojciec nigdy się nią nie interesował i chyba nigdy na niej nie był. Miałyśmy tam ulubioną pracę, świeże powietrze, trochę swobody, no i zieleń. Hodowałyśmy warzywa i oczywiście kwiaty: przede wszystkim nagietki, nasturcje i motylki. Niebagatelną sprawą była bliskość działki od domu – wynosiła chyba 1,5 km. Tak to w tamtym mrocznym okresie naszego okupacyjnego życia mieliśmy trochę radości i zapomnienia.

Tymczasem front zbliżał się już do Warszawy. Z praskiego brzegu dochodziły odgłosy kanonady artyleryjskiej. Brzmiała ona dla nas jak najpiękniejsza muzyka. Widać było, że Niemcy uciekają. Zdaje się, że właśnie wtedy wysadzili mosty na Wiśle. Czekaliśmy z dnia na dzień, z godziny na godzinę wyzwolenia, wciąż wsłuchując się w kanonadę artyleryjską, która to wzmagala się, to przycichała. Zaczęliśmy na nowo urządzać pokój zarekwirowany poprzednio dla Niemców – przekonani, że wreszcie go odzyskaliśmy na dobre. Czuliśmy, że kończy się okupacja.

Pamiętam ten okres – czas wyczekiwania, nadziei, a jednocześnie niepokoju. Po Warszawie krążyły słuchy o przygotowywanej akcji zbrojnej w mieście.

Powstanie

I właśnie wtedy, w upalny dzień 1 sierpnia 1944 roku o godzinie piątej po południu wybuchło Powstanie. Całe szczęście, że nie byliśmy na działce. W domu znajdowali się rodzice, Babcia, ja no i Żaba. Zaczęła się ostra strzelanina. Nasz dom i przyległe kontrolowali Niemcy. Zakazali zbliżać się do okien i wychodzenia na ulicę. Domy po przeciwnej stronie Marszałkowskiej (czyli nieparzystej), jak nam się wydawało, opanowali powstańcy. W bramie naszej kamienicy znaleźli się przypadkowi ludzie, spędzeni tam z przystanku tramwajowego. Pamiętam kobietę szalejącą wprost z rozpacz, gdyż zostawiła gdzieś w mieście zamknięte w mieszkaniu malutkie dziecko.

Trudno wspominać tamte dni. Będą to raczej poszczególne obrazy, sceny.

Scena I. Siedzimy w przedpokoju. Trwa kanonada. Nic właściwie nie wiadomo, z wyjątkiem tego, że jesteśmy pod „panowaniem” niemieckim. Czekamy.

Scena II. Tupot buciorów na schodach i „raus!” w ciągu 10 minut do piwnicy. W popłochu nie wiemy co chwycić. Mamie udało się zabrać i ukryć kilka sztuk biżuterii. Ja zdążyłam chwycić tylko jakieś swoje skarby, kilka fotografii i ryngraf. Podczas okupacji takie ryngrafy wisiały prawie we wszystkich domach: na tle polskiego orła wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Zdążyłam jeszcze wypuścić swoje myszy. Tak, hodowałam kilka szarych myszy ocalonych z pułapki. I do piwnicy!

Scena III. Po jakimś czasie pozwalają na 15 minut wejść na górę, żeby zabrać trochę żywności, bo musimy zaraz przenieść się do piwnicy sąsiedniego domu, gdyż nasz cały ma być oddany wojsku. Widoku na górę w naszym mieszkaniu nie zapomnę do końca życia. Wszystko porozrzucane, sterty książek, ubrań, papierów, na nich porozbijane słoje konfitur. Na szczycie jednej z takich stert cuchnąca ludzka (czy można powiedzieć ludzka?!) kupa. Całkowita, zupełna i chciałoby się powiedzieć, bezmyślna dewastacja, będąca obrazem albo raczej wyrazem żądzy zniszczenia. Chaotycznie łapiemy jakieś pokruszone suchary, ocalały słoik z konfiturami i zupełnie ogłupiali schodzimy do cudzej piwnicy, bardzo zatłoczonej. Znajdujemy sobie jakieś miejsce. Problem: trzeba wyprowadzić Żabę – nie załatwi się w domu – a nie wolno wychodzić. Wypuszczamy ją na podwórko – Babcia stoi w drzwiach.

Scena IV. (rozciągała w czasie). Wegetujemy w piwnicy. Brak żywności, wody do picia i mycia, o warunkach sanitarnych lepiej nie mówić. Brud, smród, zaduch stłoczonych ludzi. Nic nie wiemy.

Scena V. Pozwalają części ludzi z piwnicy przenieść się na parter w podwórku. Też tłoczno, ale to już luksus. Luksus? Wpada pijany włosowiec z automatem gotowym do strzału. Krzyczy: „Módlcie się, wasza ostatnia godzina nadeszła!” Wtedy wyskakuje nasza Żaba i rzuca się na niego. Zmartwieliśmy, ale nic się nie stało, kopnął ją tylko. Łapię psinę i przytulam. Wtedy występuje starsza kobieta, która handlowała bimbrem, staje przed chwiejącym się włosowcem i mówi uspokajająco, łagodnie: „Kuźma (że też zapamiętałam to imię!), ty nasz, pamiętasz jak ci bimber przynosiłam? Kuźma, ty nasz, bimber ci przynosiłam, pamiętasz?” I pijany włosowiec mruczy coś pod nosem, opuszcza automat i chwiejnie wychodzi. No tak, ta kobieta uratowała nam życie – a dotąd gotowi byliśmy potępiać ją za ten handel bimbrem.

Scena VI. Wreszcie po kilkunastu dniach „raus, raus! Schneller!” Wychodzimy, nikt nie wie dokąd nas prowadzą. Wlecemy się w kolumnie pilnowanej przez Niemców, gdzieś w kierunku Okęcia. Jest gorąco, ciężko iść.

Tulaczka

Idziemy. Wreszcie zadrutowany teren, jakiś budynek, drewniany barak. To obóz przejściowy na Okęciu. Stąd zostaniemy później (kiedy?) przeniesieni do obozu w Pruszkowie i... dalej.

Ludzie z zewnątrz podchodzą pod druty. Jakaś kobieta patrzy ze współczuciem na naszą Żabę, coś dla niej daje. Zrozumieliśmy, że przyszedł czas rozstania z kochaną, wierną i dzielną Żabą. Mama rozmawia z kobietą – zgadza się wziąć psa. Nie wiemy czy to tzw. „dobre ręce”, ale nie mamy wyjścia. Mama miała ukrytą w koczku z tyłu głowy złotą broszkę z brylancikami. Wyjmuje ją i daje tej kobiecie. Żaba znika z mojego życia. Było to dla mnie najtragiczniejsze przeżycie tamtego okresu.

Kwalifikują do dalszej wywózki. Są też lekarze stwierdzający stan zdrowia i zdolność do pracy. Zdarza się I cud: wśród polskich lekarzy jest jakiś student ojca. Poznają go. Wydaje zaświadczenie, że wszyscy tj. ojciec, mama, babcia i ja jesteśmy chorzy na czerwonkę, a takich z obozu się wydala.

Jesteśmy wolni – tylko dokąd iść? Czasu starczy jedynie do godziny policyjnej. A potem? Ktoś mówi, że jest w pobliżu rozwalony dom – może tam można by się ukryć?

Na ulicach rozlepiono plakaty – obwieszczenia, że kto przechowa warszawiaka będzie rozstrzelany, a dom jego spalony. A my przecież w dokumentach mamy zameldowanie warszawskie! I wtedy zdarza się II cud. Gdy bezradnie blakamy się wokół, kiwa na nas mężczyzna stojący w drzwiach sklepu „Szewc, naprawa obuwia”. Podchodzimy.

– To wy z Warszawy? – ni to pyta, ni to stwierdza.

- Tak, wypuszczeni z obozu jako chorzy, ale jesteśmy zdrowi, tylko...
- Chodźcie, ja was schowam.
- Czytał pan obwieszczenia, że kto przechowa...
- Czytałem, ale ja się tam nie boję.
- Ale my nic nie mamy...
- Chodźcie, schowam was za przepierzeniem, tylko bądźcie cicho i nie wyłaźcie.

Te proste słowa w tamtych okolicznościach miały wagę bohaterstwa. Tak, nie przesadzam – bohaterstwa! Wchodzimy za nim do sklepiku i klitki za przepierzeniem, w której ledwo się mieścimy. „Siedźcie cicho, coś się wymyśli” – mówi. Siedzimy cicho. Ludzie z warszawskim zameldowaniem byli ścigani. Prawdopodobnie przy pomocy naszego gospodarza udało się – zupełnie nie pamiętam w jaki sposób – uzyskać lipne zameldowanie na Okęciu, ze wsteczną datą, w jakimś zbombardowanym domu. Umożliwiło nam to opuszczenie kryjówki naszego dobroczyńcy. Mogliśmy mu tylko podziękować i... zachować we wdzięcznej pamięci.

Następnie, po różnych perypetiach, które nie utrwały się w mojej pamięci, dotarliśmy do Brwinowa do mojego stryjecznego brata Władzia Kapuścińskiego. Nie można powiedzieć, by był zachwycony naszym widokiem. Gościł już dwoje kuzynów, lecz przyjął i nas tj. ojca, mamę i mnie, zaś Babcię umieścił u swojej siostry Hanki.

W Warszawie wciąż jeszcze trwało Powstanie. Ofensywa wojsk radzieckich i polskich I Armii WP zatrzymała się na Wiśle.

Gdy zamieszkaliśmy u Władzia, jego matka ciężko zachorowała. Leżała w domu. Wobec tego wszystkie sprawy przejęła moja mama. Opiekowała się chorą, która ją bardzo polubiła, była wdzięczna za troskę i prowadzenie domu. Władzio pracował wtedy w miejscowej aptece i miał do utrzymania całą naszą gromadkę. Było dość ciężko. Pamiętam, że jedną z potraw była „smelka”, czyli rozgotowana mąka o konsystencji wodnistej kisieli, „okraszona” odrobiną mleka, którego musiało starczyć dla wszystkich. Wkrótce mama Władzia zmarła.

Miejscowi byli na ogół wrogo nastawieni do uciekinierów z Warszawy. Do dziś pamiętam zdenerwowanie mamy, gdy wróciła raz u pewnego z zakupów i to, co się rzadko zdarzało, ze sklepu mięsnego. Gdy rzucili jej jakiś ochłap, poprosiła o lepszy kawałek. W odpowiedzi usłyszała: „Won, do Warszawy, koninę żreć!”

Początkowo zaczęłam chodzić na komplety, a po wyzwoleniu do szkoły. Nie byłam traktowana zbyt życzliwie. Źle ubrana, w rzeczy otrzymane z jakichś darów zapomogowych z RGO (Rada Główna Opiekuńcza), w buciorach o kilka numerów za dużych (przecież wyszliśmy jak staliśmy w letni upał) – robiłam złe wrażenie.

Do tych wszystkich bied: braku żywności, bielizny, ubrania, dochodziła sprawa wstydliva – wszy. Był to rezultat poprzedniej tułaczki, gdy nie było możliwości utrzymania podstawowej higieny. Wszy ubraniowe udało się zlikwidować łatwiej, przez pranie, gotowanie bielizny, normalne mycie. Tu mi się przypomniało, że używaliśmy wtedy małych mydełek, które prawie nie pienily się, a raczej przypominały glinę. Wszy głowowe były trudniejsze do zwalczania, ale jednak nasze starania odniosły pożądany skutek. Co to była za ulga!

Jak by mało było kłopotów, już po wyzwoleniu, gdy otwarto szkołę, ze stosu krzeseł ułożonych prowizorycznie na sali, jedno spadło mi na głowę i dość mocno zraniło. Krew początkowo lała się obficie, ku przerażeniu nauczycielek. Odprowadzono mnie do domu i oddano pod opiekę mamy. Z czasem krzepnąca krew utworzyła z włosami duży strup, którego nie można było ruszać z obawy przed nowym krwotokiem. Był to jednak znakomity opatrunek, choć dość uciążliwy i nieestetyczny. Głowy nie mogłam myć ani się dobrze uczesać. Po pewnym czasie strup urósł wraz z włosami i można go było odciąć. Rana zagoiła się dobrze.

Zbliżała się zima i mrozy. Brak ciepłej odzieży dawał się we znaki. Pamiętam, że mama z jakiejś starej, wełnianej zasłony szyła ojcu okrycie. Trochę pomogły rzeczy z paczek przysłanych z Krakowa (zdaje się zbiórka profesorów dla profesorów). Trzeba przyznać, że Krakowianie pozbywali się najstarszych chyba ciuchów, bardzo znoszonych. Ale i to było dla nas wówczas cenne.

Nasz Władzio miał zmontowany w szufladzie odbiornik radiowy, wtedy jeszcze nielegalny. Czasami, po kryjomu, nastawiał go – mogliśmy usłyszeć wiadomości. Niemcy cofali się na wszystkich frontach – to było najważniejsze!

Kiedyś przeżyliśmy chwilę grozy: ojca złapał niemiecki patrol. Miał zostać wraz z innymi skierowany do kopania okopów. Nie wiem czym by się to skończyło – ojciec nigdy nie pracował fizycznie, chorował na serce. Zdarzył się jednak III cud – wypuścili go.

Zima 1944/45 okazała się bardzo mroźna, co zdecydowanie pogarszało sytuację uciekinierów. Brakowało opału, było naprawdę ciężko, a świadomość, że byliśmy ciężarem dla Władzia i Hanki, u której Babcia czuła się źle na łaskawym chlebie, doprowadzała nas do chwil zupełnego załamania. Czasem wydawało się mnie i mamie, że może lepiej byłoby nie dożyć takich czasów. Wiedzieliśmy już,

iz po upadku Powstania i wysiedleniu całej ludności, Warszawa jest systematycznie palona i rujnowana z niemiecką dokładnością. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie będziemy mieli dokąd wracać.

Wyzwolenie i powrót do Warszawy

Było to 17 stycznia 1945 roku. Od szosy warszawskiej słychać było niezwykle szum. Ktoś krzyknął, że Niemcy uciekli że „idą ruskie czołgi”. Wybiegliśmy na szosę. Marzły mi ręce, gdyż w pośpiechu zapomniałam rękawiczek, a dzień był mroźny. Na olbrzymich czołgach, w grubych, niezgrabnych waciakach i czapkach uszankach jechali żołnierze Armii Czerwonej. Na czapkach i czołgach widniały pięcioramiennie czerwone gwiazdy, a także napisy: „Na zapad” („На запад”) „Na Berlin” („На Берлин”).

Witaliśmy ich – udręczeni nad miarę okupacją, przeżyciami Powstania i popowstaniową tułaczką – jak wyzwolicieli! Słyszałam czasem opowiadania o kradzieżach czy rozbojach

przez tych żołnierzy. U nas jednak nic podobnego nie zdarzyło się. Wprost przeciwnie, kwaterujący w kuchni żołnierze byli przyjaźni, współczujący i obiecywali „bić su...syna Germańca” za naszą krzywdę i dobić go w Berlinie. Słuchałam tego z prawdziwym zachwytem. A mój dodatkowy podziw wzbudzili tym, że w trzaskający mróz myli się na podwórzu pod pompą, rozebrani do pasa.

Zaraz po wyzwoleniu zaczęliśmy myśleć o powrocie do Warszawy. Najpierw miał dostać się tam ojciec, a potem dopiero my. Zima była tak mroźna, że Wisła stanęła. Ojciec po lodzie (mostów nie było) przeszedł na stronę praską. Na Grochowie, przy ul. Boremlowskiej, prof. Butkiewicz organizował zajęcia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu. Wykorzystano m.in. pomieszczenia dawnego Wydziału Weterynarii – gmach ocalał.

Tak jak przewidywaliśmy, nasz dom przy ul. Marszałkowskiej został całkowicie spalony. Dzięki pomocy władz uczelni dostaliśmy niewielki pokój u jakiejś rodziny na ul. Grochowskiej 246 na 4 piętrze. Mogliśmy wreszcie wyjechać z Brwinowa. To czwarte piętro dokuczalo zwłaszcza ojcu (serce!), a tu jeszcze trzeba było nosić wodę z dołu. Dzięki zapomogom i poborom ojca, urządziliśmy się jako tako. Część dochodów zabierało wynagrodzenie głuchego mężczyzny, który nosił nam wodę. Oprócz zajęć na Uniwersytecie Warszawskim, ojciec przez kilka powojennych lat dojeżdżał na wykłady do Łodzi na Politechnikę Łódzką.

Tymczasem owdowiała Babcia i nie pamiętam jakim sposobem wyjechała do Wielenia nad Notecią, do domu prowadzonego przez siostry zakonne. Początkowo była zadowolona, później jednak narzekała w listach. Kiedyś pojechałyśmy z mamą ją odwiedzić. Komunikacja kolejowa nie była wówczas jeszcze najlepsza: niezliczone przesiadki, opóźnienia, albo nawet odwoływanie pociągów zdarzały się nierzadko. Pobylłyśmy tam dzień lub dwa. Spotkanie było wydarzeniem radosnym, a jednocześnie – smutnym. Babcia znając nasze ówczesne warunki, zdecydowała się jednak pozostać w Wieleniu. Trzeba było się rozstać. Tam też zmarła.

Warszawa w 1945 roku

Nikt kto nie widział na własne oczy, nie może wyobrazić sobie tego „morza ruin”. Wypalone, zrujnowane domy, a między nimi wąwozy ulic zaspanych gruzem. Zawsze robiły na mnie niesamowite wrażenie „wiszące piece” – jak je nazywałam. Mimo, iż stropów nie było, one wisiały przyklejone do ścian, znacząc miejsca kolejnych pięter. Kiedyś poszliśmy z mamą na ruiny naszego dawnego domu. Przechodziło się wtedy ze strony praskiej do „Warszawy” przez most pontonowy, potem wybudowano drewniany most „wysokowodny”.

Wracam do opowieści o tym co zostało z naszego domu. Był całkowicie wypalony, stropy zawaliły się, piece „wisiały”. Przeglądaliśmy rumowisko. Znalazłyśmy dwa przepalone przedmioty: łyżeczkę do parzenia herbaty z dziurkami i miskę Żaby – oczywiście zabrałyśmy je ze sobą.

A jednak miasto żyło! Wśród ruin kręcili się ludzie jak mrówki, wracali – jak my – na swoje stare miejsca. Ktoś coś taszczył, ktoś rozglądał się. Na ruinach bram i domów przyczepiano takie kartki: „Mamo, żyję, mieszkam na Pradze (adres), odezwiw się – Zosia”, „Szukam was, zostawcie tu wiadomość, gdzie jesteście – Stefan”, „Jeżeli ktoś wie coś o losie M...skich, niech zawiadomi matkę pod adresem... lub zostawi tu kartkę”. Listy te, pełne nadziei, że ich adresaci żyją i odezwią się, głęboko poruszały. Myślę, że wielu pomogły odnaleźć się. Także odrodzone Polskie Radio prowadziło przez dłuższy czas po wojnie „Skrzynkę poszukiwania rodzin” – cenna to była inicjatywa.

Oprócz kartek na murach widniały inne, duże napisy wykonane najczęściej białą farbą: „МИН HET” (min nie ma). To żołnierze Armii Radzieckiej wykonywali gigantyczną pracę przy rozminowywaniu zrujnowanego miasta, aby powracający zewsząd mieszkańcy mogli się bez obawy poruszać. Za tę pracę należy się im wdzięczność i szacunek. Szkoda, że się teraz o tym nie pamięta lub raczej nie chce pamiętać. Ale my, prawdziwi Warszawiaczy – pamiętamy. Życie spontanicznie wracało do zrujnowane-

go miasta. Władze, mimo kolosalnych zniszczeń, podjęły – jakże słuszną – decyzję, że Warszawa nadal jest i będzie Stolicą Polski. Podobno istniała koncepcja, aby stolicę przenieść do Łodzi.

Bardzo szybko powstały pierwsze zaczątki handlu i „gastronomii”: kobiety z koszykami wołały „Hierbata, hierbata”, „Pyzy, gorące pyzy”. Handlowano „z ręki” ciuchami, najczęściej pochodzącymi z szabru resztek mienia wyciąganego z ruin przez „zawodowych” szabrowników. Nieco później na parterach domów urządzano sklepiki i kioski. Gdyby tylko nie podnosić wzroku, można by mieć wrażenie normalności. Mówiło się wtedy „parterowa Marszałkowska”, bo nad sklepikami nadal straszyły ruiny i zgliszcza. Przez lata po wojnie mieliśmy kartki żywnościowe, upoważniające do zakupów w sklepach państwowych. Były więc kartki na mięso, na cukier, masło itp. Trzeba je było rejestrować w odpowiednich sklepach, a biedne ekspedientki miały dodatkową pracę z wycinaniem poszczególnych numerków i ich magazynowaniem. W którym roku zniesiono kartki – nie pamiętam.

A jak wyglądała komunikacja? Dawna oczywiście nie istniała. Najpewniejsze były własne nogi. Jednak pomysłowość rodaków była niewyczerpana i w tym względzie. Najpierw były to furki zaprzężone w konika. Po obu stronach furmanki zainstalowano drewniane ławy. Przewóz był oczywiście płatny. Woźnica zachęcał potencjalnych pasażerów wołaniem: „Na Pragie, na Pragie!”. Gdy zebrał się komplet, konik człapał „na Pragie”. W przeciwną stronę jechało się „Na Warszawę”. Jednak woźnice mieli konkurencję w wojskowych ciężarówkach. Ludzie ładowali się na górę i... jazda! Przypominam sobie jazdę taką ciężarówką w dół ulicą Karową. Kierowca, chyba mocno „zalaný” pędził zygzakami na złamanie karku. Wydawało się przez chwilę, że choć przeżyliśmy wojnę, zaraz zginiemy marnie. Okazało się jednak, że zjechaliśmy szczęśliwie i wszyscy byli zadowoleni.

Zaraz po wyzwoleniu, gdy jeszcze na zachodzie trwały działania wojenne, ruszyła odbudowa Warszawy. Do odbudowy przyczyniali się wszyscy w spontanicznym zryw. To było coś nadzwyczajnego! Ze strony władz koordynował prace specjalnie powołany zespół: Biuro Odbudowy Stolicy – BOS.

Pierwszy etap polegał na odgruzowywaniu. Ocalałe, nieuszkodzone cegły układano w porządne stosy, gruz wywożono m.in. na miejsce budowy przyszłego stadionu. Wyburzano i rozbierano domy nie nadające się do remontu, natychmiast podjęto odbudowę sieci elektrycznej, wodociągowej i kanalizacyjnej, która służyła jako drogi komunikacyjne podczas Powstania.

Ja również, własnymi rękami – w dosłownym znaczeniu – odbudowywałam swoją Warszawę. Wszyscy wtedy pracowali spontanicznie, bez pytania o wynagrodzenie, dla własnej satysfakcji. Do dziś przechowuję jako cenną pamiątkę imienną Kartę Uczestnictwa zaświadczającą, że brałam udział w akcji odgruzowywania Stolicy. Prace nabierały niezwykłego tempa – wtedy mówiło się „warszawskie tempo” na określenie jakichś szybkich działań.

Już w 1946 roku odbudowano most Poniatowskiego, w trzy lata później oddano trasę WZ (z tunelem pod skarpą, z ruchomymi schodami, stanowiącymi wówczas zupełną nowość), most Śląsko-Dąbrowski (dawniej Kierbedzia). Powstawały nowe osiedla: Mariensztat, Muranów, Mirów. Lata następne to budowa MDM z placem Konstytucji, odbudowa Filharmonii Narodowej, Teatru Wielkiego, Pałacu na Wodzie w Łazienkach, Starego Miasta.

Szybko wracały na swoje miejsca pomniki zniszczone przez Niemców: Kopernika, Mickiewicza, Chopina. Na szczęście odnaleziono oryginalną głowę z dawnego pomnika, resztę zrekonstruowano. A król Zygmunt, który zrzucony ze swojej kolumny leżał „na wznak” u jej podnóża, wrócił na swoje dawne miejsce. A byli i tacy, którzy twierdzili (sama słyszałam), że i za 50 lat nie odbudujemy miasta!

Z czasem ruszyła też komunikacja, która zastąpiła furki i ciężarówki wojskowe. Tabor stanowiły tramwaje, autobusy i trolejbusy, zwykle bardzo zatłoczone. Stolica leczyła rany i wracała do życia.

Moje wojenne dzieciństwo rozpoczęło się w 1939 roku – jesienią, a zakończyło w 1945 roku – wiosną, w maju, kwitnącym, pięknym i niosącym uczucia nadziei na przyszłość. Miałam wtedy czternaście lat. Rozpoczęła się moja młodość...